

Michał Czapski

[Wspomnienia]

Przegląd Pruszkowski nr spec., 19-31

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MICHAŁ CZAPSKI
Matura 1934

WSPOMNIENIE MICHAŁA CZAPSKIEGO
Drukowane w „Przeglądzie Pruszkowskim” nr 6/1984

(...) Nasze czasy, to był schyłek epoki kształcenia umysłów, ba... charakterów według recept starożytnych mędrców. Nacisku łaciny nie odczuwało się bezpośrednio, tym nie mniej wpływ klasyków starożytnych przenikał wszędzie. I co dziwniejsze – ludzie, którzy nic wspólnego nie mieli z łaciną, bezwiednie poddawali się urokowi martwego świata, chętnie używali terminów łacińskich, przysłów maksym... Łacina w dalszym ciągu kształtowała mowę polską i wpływała na jej rytmiczność. Jakież dalekie echa mów Cycerona odzywały się w przemówieniach na akademiach i pogrzebach. Wciąż trwał nastój emanujący ze strzaskanych reliktyw Romy i Hellady. Jeszcze dużo ludzi było zrośniętych z kulturą klasyczną. Przeważnie uczyli w szkołach. Pasja pedagogiczna strzegła ich od trwania w zaczarowanym kręgu specjalistów i kontakt z młodzieżą rozciągali poza program gimnazjalny. Taką widoczną kładką pomiędzy uczniami i uczącymi łaciny i greki był wydawany we Lwowie przez prof. Ryszarda Gańszyńca dwutygodnik „Filomata”, w formacie B6, poświęcony wiedzy antycznej. Ten i ów z nas prenumerował „Filomatę”. Profesor nasz, Stanisław Moczulski, był jednym z animatorów pragnących zbliżyć młodzież do świata starożytnych. Energicznie wchodził do klasy i zabierał się, równie energicznie, do przepytywania z zadanych lekcji – ostro, ale bez podnoszenia głosu. Wszyscy siedzieli jak trusie, prawie nie oddychali. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie żartów... Długo jednak nie wytrzymał w roli nieustępliwego egzaminatora. Zaniechał chodzenia pomiędzy ławkami i wracał na katedrę. Siadał

wygodniej na krześle i rzucał kilka uwag treści ogólnej. Chętnie odpowiadał na zadawane mu pytania i nikt się nie spostrzegł, kiedy zaczęły lecieć słowa prelekcji nie przewidziane w żadnym programie szkoły średniej. Mój Boże! jakżeż on nas traktował, nas nieuków i płaskich spryciarzy. Słuchaliśmy o związkach językowych ludów indoeuropejskich, znaczeniu filozofii greckiej, luminarzach nauk klasycznych i wkładzie uczonych polskich w studia nad starożytnością. Prawie nie było lekcji, aby nie wspomniał o Tadeuszu Zielińskim, o jego komentarzach do dzieł klasyków, poglądach na religie pogańskie. Było to nieustanne wyrażanie podziwu dla mistrza. Wsłuchani w słowa Moczulskiego, odczuwaliśmy poniekąd współobecność profesora Zielińskiego. Choć nigdy go nie widzieliśmy, nawet jego portretu. Ale pod urokiem słów w imaginacji naszej zaczął się formować obraz wielkiego filologa. I gdyby ktoś z nas znalazł się przypadkiem na Krakowskim Przedmieściu i zobaczył przemierzającego dziedziniec uniwersytecki starca z wielką białą brodą, zatrzymałby się i odkrył głowę.

[Nie mogę powstrzymać się od mojego osobistego komentarza – prof. Jerzy Manteuffel – papirolog – filolog zafascynowany był także profesorem Zielińskim – ja przeczytałam chyba jego wszystkie prace, mam też zdjęcie tego znawcy starożytności – jego piękna, o mądrych oczach, twarz mogła zafascynować każdego – I.H].

Fortecą łaciny była klasa siódma. Stamtąd to wybiegał dwa razy w miesiącu Jurek Horbaczewski – wielkie, kochane chłopisko – leciał przez wszystkie klasy i darł się jak opętany, z tym swoim uroczym kresowym akcentem: Filomaaaata!!! A Włodek Konopnicki – jakże pięknie skandował bukoliki Wergilego, „Metamorfozy” Owidiusza.

Atoli i w młodszych klasach zaczynało budzić się zainteresowanie antykiem. Profesor Moczulski uporem swoim i siłą przekonywania, pozbawioną fanatyzmu i egzaltacji, potrafił – rzecz zdumiewająca – stworzyć atmosferę omalże filarecką. Uważał nie bez racji, że – aby wprowadzić nas w klimat życia starożytnych

– dobrze byłoby posłużyć się mirażem, pomóc wyobraźni choćby złudnym rysunkiem. W sali rekreacyjnej na drugim piętrze powstały jakby obrazy iluzjonistyczne, odtwarzające wnętrze domu rzymskiego – jego centralną izbę (atrium) z nieodzowną w środku sadzawką (impluvium). Z tą sadzawką to były same kłopoty. Bez dziury w stropie niepodobna było tego zrealizować. Napomykano o malowidło, imitującym wodę z falami – to robi wrażenie i wprowadza nastrój skupienia. Każdy będzie patrzył na wodę. Na coś się tam wtedy zdecydowano. Pamiętam tylko szkice kolumnady na ścianach.

Ryzykantem, pełnym coraz to nowych pomysłów, był Leszek Chelmiński. Całe godziny trawił na fałszowaniu zaświadczeń szkolnych i podrabianiu podpisu ojca. Przed każdą lekcją gimnastyki składał wizytę w gabinecie lekarskim, jakoby z wysoką gorączką. Tak manewrował, aby z termometrem znaleźć się jak najbliżej radiatora. Doktor Fitkał łapał się za głowę: „czterdzieści dwa stopnie, jak ty to możesz wytrzymać. Pakuj się do łóżka”.

Skacząc z piętra na pół podest miał coś ze współczesnego kaskadera. Nocą włamał się, drogą przez piwnice i salę rekreacyjną do gabinetu fizycznego celem poprawienia zeszytów z pracami szkolnymi; smarował się kredą podczas klasówki niby bliski omdlenia, aby wydostać się na chwilę z klasy i wrócić z gotowym wypracowaniem. Słynna była jego afera z „Bryksolem”. Bryksol, była to substancja o barwie ciemnobrunatnej i konsystencji sprasowanej płytki z torfu, jakiej używa się przy kolekcjonowaniu motyli, o zapachu niezwykle silnym. Sprzedawany był w szczelnym opakowaniu. Przed użyciem zdzierało się opakowanie i zawartość wieszało się w samej tylko perforowanej koszulce – w pomieszczeniu, gdzie wydzielane były niemiłe wonie. W omawianym wypadku bryksol wieszany był w WC profesorskim, zamykanym na zwykły zamek. Dla Leszka sforsowanie takiego zamka było dzieciinną igraszką. Bryksol wydobyty został z koszulki, rozdrobniony i rozrzucony po wszystkich klasach, szczególnie intensywnie sypany pomiędzy kartki dzienników lekcyjnych. Zapach

tego preparatu, niewątpliwie bardzo pożyteczny – dopóki zwalczał smród naturalny – w normalnej atmosferze był jak złe ziele. Nikt z profesorów, po przewróceniu kilku kartek dziennika, nie wytrzymał na katedrze i cofał się w głąb sali. Ale i tu aromat go dopadał. Koleżanki również zaczęły odczuwać działanie osobliwej „perfumy”. Wszyscy uskarżali się na ból głowy. Wołano woźnych, dyżurni otwierali okna. Dyrektor, wiedziony nieomylnym instynktem, wpadł do naszej klasy jak furia z nieodłącznym profesorem Warpechowskim. Nastąpiła ogólna rejterada. Niemало było wtedy zamieszania.

Epokowe wydarzenie w historii gimnazjum Zana, którego inspiratorem – jakże inaczej – był także Chełmiński, miało miejsce znacznie później, w 1935 roku, kiedy nie było mnie już w gimnazjum.

Leszek posiadał, rzadki w naszym społeczeństwie, zmysł przedsiębiorcy – myślał o dorobieniu się własnego kutra dla przewozu drobnicy. (...)

Wśród pamiątek rodzinnych naszego Leszka poczesne miejsce zajmował album z barwnymi reprodukcjami obrazów Jana Chełmińskiego (1851–1925). Ów świetny batalista był bratem Leszkowego dziadka. Nie mogłem oderwać oczu od wizerunków koni, pysznie oddanych – w polu i na paradzie.

[Tu chciałam parę słów napisać o losach kolegi Leszka; obaj – Leszek i autor wspomnień – nie żyją. Przytoczę wspomnienie o Leszku jego kolegi Henia Krzyczkowskiego opublikowane w „Przeglądzie Pruszkowskim” nr 1-2/2006:

(...) Tu (w Zanie) w roku 1936 zdał egzamin maturalny. Wspominał z sentymentem lata spędzone „u Zana” i jego wzorowych nauczycieli: dyrektora i jednocześnie matematyka pana Leona Ostrowskiego oraz jego żonę, polonistkę – panią Stanisławę Ostrowską, a także historyka, profesora Warpechowskiego. Jest naprawdę uszczęśliwiony, gdy opowiada o swoich koleżankach szkolnych: o Zosi Kalisiewicz-Michalskiej i o Jadzi Wenerowicz-Dontenowej. Pierwsza jest dentystką, druga – lekarką.

Z dawnych kolegów szkolnych wspomina przede wszystkim Staszka Jasińskiego, który poległ w obronie Warszawy w 1939 roku oraz Janka Świrczewskiego. Z tymi kolegami odbywał wycieczki rowerowe, wędrując tak po całej Polsce. Wspomina także Franka Jezierskiego, z którym budował kajak i razem odbywali długą wyprawę z Pińska do Warszawy, płynąc Prypecią, Kanałem Królewskim do Muchowca i dalej, przez Brześć do Bugu, Bugo-Narwią do Wisły. Wędrówkę zakończyli w Warszawie.

Po wielu latach, z pewnym rozbawieniem, wspomina Leszek głośnie niegdyś zainstalowanie wspólnie z Jankiem Świrczewskim podsłuchu w sali posiedzeń Rady Pedagogicznej. (...)

Losy Leszka były bardzo ciekawe. Nikt nie przypuszczał, że ten, skory do kawałów uczeń, okaże się bohaterem II wojny światowej.

Leszek po uzyskaniu matury w 1936 roku zdał konkursowy egzamin do Sekcji Technicznej Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej 2.

(...) W końcu lipca 1939 roku Leszek Chelmiński pomyślnie złożył końcowe egzaminy. W dniu 1 sierpnia odbyła się uroczysta promocja na stopień podporucznika. (...)

1 września wybuchła wojna. Po wielu perypetiach 11 listopada 1939 roku znalazł się nasz kolega we Francji. Walczył tam, a po kapitulacji Francji wraz z innymi lotnikami przedostali się do Anglii.

Leszek Chelmiński przybył do Anglii w połowie 1940 roku, otrzymał przydział do Dywizjonu Bombowego 300, kwaterującego na lotnisku w pobliżu miasta Bristol.

Dywizjon kolegi Leszka brał udział w wielkich nalotach na Bremen i na Berlin. Koniec wojny zastał jego dywizjon w Wenecji. W 1946 roku Dywizjon przeniesiono do Anglii, gdzie nastąpiła demobilizacja. Leszek opuścił armię w stopniu majora – I.H.]

I tak przechodziły miesiące, a nam chłopakom przybywało centymetrów. W następnej, szóstej klasie nastąpiła fuzja klas z niemieckim i francuskim, przybyło też coś nie coś z innych szkół... Dzięki

doszłusowaniu Irki Borzymińskiej i Mańka Łukasika wzmocniła się pozycja łaciny. Zastaliśmy też i tych, co zbyt dobrze czuli się w szóstej klasie.

Bardzo efektowny był Józiek Różański – wysoki, prosto się noszący, w rozpiętej marynarce – mieszkał na Woli i należał do klubu piłkarskiego o dumnej nazwie „Ordon”; Juchtman Norbert, „towarzysz jego nieodstępny” przybył z Prużany, z Polesia, był dobry z łaciny i rekordowo tańczył kozaka. W przysiadach przechodził całą salkę, to ręce z hukiem zabijał, to w górę wyskakiwał i trzeba było trochę poczekać aż z powrotem opadnie na podłogę.

Zwiększyła się liczba dojeżdżających z innych miejscowości. Przybywali nie tylko z Warszawy, ale także z Włoch, Ursusa, Piastowa. Od zachodu „dopływał” Żyrardów, Grodzisk, Milanówek, dopisywał Brwinów. Każdego ranka zjawiała się stamtąd cała kolonia młodzieży pod opieką księdza prefekta Walentego Malewskiego. Był w tej grupie Stasiek Rayzacher, Dulski, Kaizer, ładne i miłe obydwie Gockowskie – do starszej klasy doszła wysoka i smukła Szudejkówna.

Z „przełożonych” najczęściej zmieniali się prowadzący gimnastykę. Różni się trafiali Od niezwykle subtelnych inteligentów do osobników o wzięciu piłkarzy B-klasowych. Był też bardzo krótko jakiś trener z YMCA, żywo przypominający rewiowego konferansjera.

Gimnastyka była niejako zaprawą do gier i lekkoatletyki. A lekkoatletów nie brakowało... Tadek Szuster miotający kulą (zamordowany przez gestapo), w biegach krótkich mocny był Świrczewski, później błysnął Sztrausman, aby ustąpić miejsca Ostrowskiemu. Nad sprawnością fizyczną Heńka Sztrausmana nie mógł się nadziwić magister Tyszka: „ze wszystkimi przedstawicielami narodu wybranego mam niebawale kłopoty, a tu... taka niespodzianka!” W długich dystansach najwytrwalszym był Jurek Rzymiski „widzę go oczami duszy mojej” jak przebiega – ze straszliwym wysiłkiem – trasę trzykilometrową z chustką w zębach.

Ciekawą kwestią jest jak wcześnie u młodych ludzi ujawniają się dyspozycje w kierunku jakiegoś zawodu. Dawnymi laty prawie w każdym życiorysie męża wybitnego nie omieszkało zaznaczyć, że „już od ławy szkolnej”... Może w tym wytartym powiedzeniu tkwi jakieś źródło prawdy? Janek Świrczewski nie rozstawał się z kompletem cyrkli i, we wszystkim, co robił zdradzał rzadką systematyczność. Maniek Łukasik tkwił bez przerwy w oku cyklonu dyskusji politycznych, nie tylko o Marksie i Lassalle’u a także spory nieustające na lekcjach religii z księdzem prefektem.

Czyż z tych drobnych, nie ruszonych zębem czasu twarzyczek społeczności szkolnej można było wyczytać przyszłe losy ich właścicieli? Będą z nich błyskotliwi adwokaci, skupieni inżynierowie, trybuni ludowi, uspakajająco uśmiechnięci lekarze, pisarze, żurnaliści.

Na jednej z lekcji higieny, w której brali udział wyłącznie chłopcy, dyrektor zwrócił się z zapytaniem, który z nas myśli o studiach medycznych. – wstał jeden – Januszek Górski. Doktor Fitkał był wstrząśnięty: „za moich czasów 80% kolegów marzyło o szczytnym zawodzie lekarza!”

Nie były to już lata uniesień nad Darwinem, powszechnego pasjonowania się rewelacjami w biologii. Trudniej też było o amatorów na „łapiduchów”. Natomiast sztuka wojenna pociągała nie jednego. Na ćwiczeniach z przysposobienia wojskowego prześcigano się w umiejętności władania bronią i popisywaniu się znajomością ugrupowania oddziału w marszu i natarciu. Najczęściej było słychać Dajczera. Były jednak autorytety militarne nie do obalenia, jak Władek Stypułkowski, Fiutowski, Bolek Ostrowski. Pełnili oni kolejno funkcje szefów hufca szkolnego i myśleli nie na żarty o karierze wojskowej.

Codziennie, w szatni na dole zmienialiśmy buty. Wewnątrz gmachu obowiązywało chodzenie w miękkich pantoflach. Były to przeważnie popularne pepegi (Polski Przemysł Gumowy) lub łapciowate „gimnastyczne” pantofle brązowe. Rzadko, wchodzą-

ce dopiero w życie, dość drogie obuwie na podeszwie z włókna importowanego z Padwy. Uwagę ogólną zwracał Wojtek Żukrowski z Milanówka, ruchliwy już od samego rana. Był z młodszej klasy. Ożywiał ospałe relacje chłopaków ze zdarzeń z dnia wczorajszego jakimiś nadzwyczajnymi historyjkami. A miał ich pełno w zanadrzu... Patrzył na zaciekawionych słuchaczy z za firanek rzęs czarnymi oczami, nieustannie zdziwionymi i jakby trwającymi w zastygłej ironii. Były to istne eseje mówione, jakby urywki z *vie romancée* – po mistrzowsku odświeżane stare zdarzenia i ujmowane z bliska postaci z panteonu narodowego. Mówił o tym wszystkim z takim przejęciem, jakby to dopiero się wydarzyło... Nie były one jednak w charakterze prób Boya-Żeleńskiego „odbrązawiania” naszych znakomitości czy gwałtownych sensacji „Ogniem i mieczem” docenta lwowskiego Olgierda Górki. Można by je zaliczyć do „obrazków z dziejów ojczystych”, zmyślonych, a może i prawdziwych, ale zawsze pogodnych, połączonych nie tyle z charakterystyką ludzi co z zabawnym epizodem. Np. jak to księciu Józefowi Poniatowskiemu na jakiejś defiladzie odkleiły się owe zabójcze baczki i była wielka konsternacja... A słuchający tak jakoś byli oczarowani barwną facecją, że nikomu nie przyszło do głowy, iż piękny arystokrata nie mógł łysieć w miejscach, gdzie ludzie z reguły nie łysieją.

Skąd on brał te wszystkie opowieści – czort wiedział...

DRUGIE WSPOMNIENIE

Drukowane w „Przeglądzie Pruszkowskim” nr 1/1987

Byliśmy wtedy w szóstej klasie. Był taki dzień, wczesną wiosną – jeszcze przed przylotem ptaków, kiedy Warpechowski miał pilne zajęcia w kancelarii i, zamiast niego, na lekcji zjawił się chudziutki, o nikłej postaci, świeżo upieczony młody magister filozofii. Nazywał się, tak trochę z tatarska, Stochlak, na imię miał Władysław [matura 1925, zmarł 1977 – I.H.]. Chodził pomiędzy rzędami stolików, w garniturku o barwie bladogranatowej, mówił z wielkim przejęciem o wstrząsających wydarzeniach na tle religijnym w szesnastowiecznej Europie i niezmiernym ich znaczeniu. Nie wszystkim, pamiętam, oświecenie dziejów w jego ujęciu, odpowiadało. Może sprawiło to zbyt silne stawianie akcentów na pewnych zdarzeniach, albo też – spojrzenie na działalność pewnych instytucji wydawało się niektórym mało obiektywne. Dość, że spotkał się z pewnym sprzeciwem wśród chłopaków, bądź co bądź już zaprawionych w różnych dyskusjach lekcyjnych. Z tym i owym nie mógł pogodzić się Stasiak Włodarczyk. Szczególnie drażnił go przymiotnik „niezmierny”. Podejmowane jednak dyskusje ze Stochlakiem kończyły się jego triumfem – rzeczywiście „niezmiernie” górował nad szóstoklasistami. Zdawałoby się miażdżące argumenty kolegów natrafiały na solidne przygotowanie absolwenta uniwersytetu i odbijały się na jego edukacji jak od pancerza.

Nie było rady! Trzeba było młodemu historykowi przeciwstawić kogoś mocniejszego. Chłopaki pobiegli do ósmej klasy i sprowadzili Władka Konopnickiego (1912–1984), najbieglejszego w całej szkole humanistę. „Oto, Panie Profesorze, niezwykle uczony w piśmie przedstawiciel naszej szkoły...” Stochlak patrzył z dołu na wyższego prawie o pół głowy Władka i od razu, z dużą swobodą, wpadł w ten ton wielce żartobliwy, parodiując zwroty wielkich humanistów wędrujących niegdyś po szlakach kultury europejskiej;

„a sława Pańska sięga daleko...” I od razu atmosfera przerodziła się w przedziwnie swojską i rozmowa – zamiast dotykać wielkich problemów trapiących ludzkość – potoczyła się około różnych trudności z przyswajaniem sobie wiedzy i w ogóle uczniowskiego bytowania. Władek, tak jak i Horbaczewski, Marian Hawryłkiewicz, Mateusik, Franek Jezierski, Giewiałtowski i jeszcze kilku kolegów, mieszkał w bursie dla dzieci zagubionych w zawierusze wojennej, mieszczącej się przy ulicy Narodowej.

* * *

Z różnym szczęściem dobrnęliśmy do ósmej klasy i, żegnając się z naszym dotychczasowym wychowawcą, zacnym historykiem Werpechowskim, weszliśmy w strefę zagadnień bieżących i dzieje powszechnie zastąpiła nauka o Polsce współczesnej, ujęta w zwięzłym podręczniku Franciszka Bujaka, Jana Stanisława Bystronia i Antoniego Peretiatkowicza. Pierwsza lekcja tego przedmiotu była nader ożywcza, jakby powiało od pól i łąk. Nowy wykładowca, Marian Trojan, był ze szkoły Batorego, gdzie w młodszych klasach uczył historii, poza pracą pedagogiczną parał się sztuką aktorską – grał w teatrze „Ateneum”. Coś było orzeźwiającego w tym prosto trzymającym się człowieku o szerokiej twarzy z silnie wystającymi kośćmi policzkowymi i długimi włosami, włożącymi na kołnierz. Mówił z zapałem i z wielkim pośpiechem, przedłużając z chłopską literę „o” Długo miejsca u nas nie zagrzał. Niezwykłe było jego pożegnanie. Kończąc ostatnią lekcję, życzył nam szczęścia podczas egzaminu maturalnego. Janek Makowski (nie mylić z profesorem matematyki o tym samym imieniu i nazwisku); [Janek skończył prawo – zginął w Powstaniu Warszawskim – I.H] nie pozwolił mu tak zaraz odejść. W pięknych i wzruszających słowach żegnał tak krótko przez nas widzianego człowieka: „może będziemy mieli sposobność wyrazić niejeden raz podziw dla Pana Profesora w teatrze długo nie milczącymi oklaskami” Trojan był poruszony. Próbował odpowiedzieć, lecz głos mu się łamał. Niejeden raz

jeszcze spotykałem się z jego nazwiskiem – grał w filmie „Wisła” karczmarza, wyróżniono go w konkursie „Pionu” (przedwojenny tygodnik literacki) za nowelę, było też zdjęcie w miesięczniku „Wici”, organie Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej, na którym widać siedzącego na krzeselku Stefana Jaracza i za nim stojących... Trojana i prozaika Wincentego Burka.

Życie nie znosi pustki. W czasie następnej lekcji odbyła się introdukcja nowego profesora. Dyrektor Ostrowski przedstawił nam bardzo wysokiego i szczupłego młodzieńca, o złocistych włosach, co chwila piekącego raka... Stanisław Herbst (1907–1973), bo on to był, zdążył już obronić pracę doktorską na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadził studia nad założeniami obronnymi i z racji tej współpracował z katedrą architektury polskiej na Politechnice Warszawskiej, z profesorem Oskarem Sosnowskim i jego asystentem Bohdanem Guerquinem. Ten nieśmiały, pozornie niepewny i niezbyt głośno mówiący doktor filozofii, z niezwykłą swobodą obracał się w rozległej dziedzinie historii gospodarczej, dziejach kultury i oręza polskiego; mówił o genezie różnych kultur ludowych. Delikatnie, acz bardzo skutecznie eliminował z naszych głów różne zlepki pojęć historiozoficznych wpojonych nam przez przypadkowych rozmówców czy publicystów. No, rozbiła się teraz cała bania nauki. Herbst przysposabiał nas poniekąd do studiów uniwersyteckich. Wprowadził zwyczaj seminaryjny przygotowania przez każdego z uczniów przynajmniej jednego referatu. Nasze opracowania może i zawierały jakieś pasjonujące elementy, o ile wzięte były z dostarczonych przez profesora źródeł. Mój Boże! jakże naiwne były wnioski wyciągane pochopnie ze zgrupowanej małej ilości faktów, a niedopuszczalne uogólnienia! Żywo przypominały, *mutatis mutandis*, niektóre współczesne prace doktorskie, oparte na tzw. „wybranych przykładach”, tyle że „promotor” był znacznie krytyczniej nastawiony i tematy przez niego narzucane miały wyraźny sens. Usprawiedliwiała nas okoliczność, że były to pierwsze kroki na drodze do samodzielnego myślenia. Pamiętam

do dziś tytuły niektórych z tych referatów, nawet urywki treści. Ktoś mówił o rozwoju przemysłu w Królestwie Kongresowym, inny o zadaniach kultury polskiej na kresach wschodnich. Zosia Kalisiewiczówna [skończyła dentystykę – była wspaniałym lekarzem i człowiekiem – I.H.] referowała dzieje stosunków polskolitewskich. Bardzo mało znaną sprawę dróg handlowych, łączących Czechy z Bałtykiem, omawiał Stasiek Włodarczyk. W pracy o liberalizmie na kanwie związków ariańskich polsko-holenderskich wydedukował autor bardzo ryzykowny pogląd o wpływie polskich instytucji ustrojowych znamiennych oryginalnymi pojęciami wolności, na idee Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Bolek Ostrowski [skończył podchorążówkę, był ranny we wrześniu 1939 r., działał w konspiracji, zabił dyr. Arbeitsamtu, zginął pod Berlinem – I.H.] opracował w historycznym rozwoju taktykę jazdy polskiej, podkreślając oryginalną jej właściwość – manewr kawaleryjski. Mówił z nieklamany przejęciem, wzmacniając wypowiedzane uwagi gestami rąk. Uwzględnił też, modne w kołach ówczesnych strategów, współdziałanie kawalerii z bronią pancerną.

* * *

Wydarzenie, które chcę opisać, nastąpiło już po moim odejściu z gimnazjum i znam je tylko z przekazu ustnego głównego uczestnika. Trudno jednakże o nim nie wspomnieć, zważywszy okoliczność iż „wstrząsnęło” ośrodkiem pruszkowskiej edukacji. Było to w roku 1935, w czasie sesji przedmaturalnej. Narada profesorów odbywała się na parterze. Na poddaszu usytuowana była zbrojownia przysposobienia wojskowego, na której wyposażenie składało się kilkadziesiąt karabinów marki Manlicher. Chłopaki wpadli na pomysł, aby w konferencyjnym pokoju zainstalować podsłuch, z odbiorem w zbrojowni. Inicjatorem i głównym wykonawcą był, któż by inny... Leszek Chełmiński. Współdziałał Janek Świrczewski i jeszcze kilku kolegów. Tuż przed sesją woźny, ale nie Stanisław, tylko ten

drugi, ciągle śmiejący się i przestępujący z nogi na nogę, szepnął profesorowi Moczulskiemu, że widział Chelmińskiego majstrującego przy kaloryferze. Moczulski zapomniał o ostrzeżeniu woźnego i konferencja przebiegała zwykłym trybem. Chłopaki siedzieli na górze i z zapartym tchem słuchali wyroków na siebie. Odbiór był tak głośny, jakby ktoś krzychał im do ucha, co jeszcze potęgowało efekt i przyśpieszało bicie serca... W środku narady raptem Moczulski przypomniał sobie ostrzeżenie woźnego i zwrócił się do Dyrektora: „Panie Dyrektorze, coś tu podobno Chelmiński... Co? Chelmiński?” – ryknął Dyrektor i porwał się z miejsca. Na profesorów podziało to jak iskra elektryczna. Nastąpiło ogólne poruszenie. Nie wszyscy wiedzieli o co chodzi, ale pojęli, że trzeba czegoś szukać... Rozbiegli się więc po izbie i obmacywali ściany. Dyrektor okazał się jednak sprawniejszy. „Drut” – krzyknął. „Drut” – powtórzył jak echo Warpechowski. I zaczęli ciągnąć. Ciągnęli, ciągnęli i powoli zza kaloryferu wyłonił się mikrofon! Zdumienie ogólne. Na razie nie wyrażono oburzenia. Nie było czasu. Sytuacja wymagała szybkiego działania. Przewód od mikrofonu biegł dalej. Zrozumiano od razu, że wskazuje jakiś kierunek. Chwycono się więc tego drutu jak Tezeusz nitki Ariadny.

Na górze chłopaki zorientowali się, że jest niedobrze. Szybko wyłączyli odbiornik i zwinęli kabel. Drugą klatką schodową wydostali się na zewnątrz.

Później były jakieś dochodzenia – ale o tym, pisano już nie raz...

* * *